



Nazywam się Iwona Sokołowska, urodziłam się 2 grudnia 1982 roku, mieszkam w Wałczu woj. zachodniopomorskie. Dzień przed moimi osiemnastymi urodzinami, czyli 1 grudnia 2000 roku dowiedziałam się o mojej chorobie tj. nowotworze złośliwym tkanek miękkich, mięsakiem o nazwie **sarcoma synoviale**, który umiejscowiony był w mojej prawej stopie od dobrych kilku miesięcy. Po diagnozie był płacz, pytania dlaczego ja, dlaczego teraz itp. Dzielnie znosiłam chemioterapię oraz kilka nieradykalnych operacji/prób usunięcia guza. W międzyczasie zdałam maturę, rozpoczęłam studia i leczyłam się.

Po ponad rocznym leczeniu onkologicznym w Poznaniu, trafiłam do Centrum Onkologii w Warszawie. Pan profesor Ruka zastosował u mnie leczenie radioterapią, następnie zoperował mnie i otrzymałam kolejne kursy chemioterapii. Z płaczem goliłam głowę, gdy po raz czwarty odrośnięty „język” na głowie zaczął wypadać. Nie poddawałam się, nadal byłam silna i dzielnie walczyłam z nowotworem. Pomagał mi w tym chłopak (z którym zaczęłam spotykać się 2 m-ce przed wykryciem nowotworu) oraz rodzice.

W marcu 2002 roku zakończono leczenie. Miesiąc później (nie wiem jak to możliwe) zaszłam w ciążę i w styczniu 2003 roku urodziłam śliczną i zdrową córeczkę. Mój organizm się regenerował, ja – systematycznie jeździłam 400km na kontrolę do Centrum Onkologii w stolicy.

Życie toczyło się dalej, jednak okazało się, że mój organizm jest słaby i nie licząc operacji chorej stopy – przez kolejnych 10 lat przeszłam ok. 10 zabiegów/operacji typu: usunięcie woreczka żółciowego, operacje przykurczu Dupuytrena, koagulacja ognisk endometriozy itp. W 2008 roku okazało się również, iż wskutek przebytych chemioterapii mam uszkodzone kanaliki nerkowe. Mimo tych wszystkich chorób i operacji cieszyłam się życiem, wspólnie z mężem wychowywaliśmy córeczkę i bardzo pragnęliśmy powiększyć naszą rodzinę. W związku z powyższym 14 sierpnia 2012 roku urodziłam pięknego i zdrowego synka. Wychodząc z maleństwem ze szpitala pomyślałam, że teraz naprawdę jestem szczęśliwa.

Niestety – moje szczęście nie trwało długo. Dwa miesiące po porodzie, na mojej kilkakrotnie operowanej stopie wyczułam kilkumilimetrowe zgrubienie. Pomyślałam: nie, to nie może być prawdą; to nie może być kolejna wznowa – przecież nie po to urodziłam dziecko, by znowu zachorować i nie móc uczestniczyć w jego wychowywaniu.. A jednak, po 11 latach od operacji i 10 i pół roku po zakończeniu leczenia mięsak ponownie był w mojej stopie. Zamknęłam się w sobie, załamalam, przez dwa dni nie wychodziłam z łóżka tylko płakałam. Na szczęście mąż

wyciągnął mnie z tego, wytłumaczył: że tak nie można, że muszę walczyć i się nie poddawać jak dawniej; że muszę to zrobić dla niego, dla niego i dzieci; że przecież za kilka lat muszę żyć, gdy synek w przedszkolu będzie mówił wierszyk z okazji Dnia Mamy; bo nikt nie zastąpi im mnie – mamy i żony...

Piątego listopada 2012 roku pojechałam więc z mężem do Centrum Onkologii w Warszawie i profesor Rutkowski potwierdził moją diagnozę. Zostawiłam wynik tomografii komputerowej, zrobiłam RTG klatki piersiowej i czekałam na wyrok... Po dwóch dniach otrzymałam telefon z wiadomością, której nigdy nie chciałam usłyszeć.. „Dzień dobry Pani Iwono, mówi Piotr Rutkowski... Jest wynik RTG klatki – przerzutów nie ma, ale niestety po skonsultowaniu się z lekarzami stwierdziliśmy, iż jedyną metodą leczenia Pani jest amputacja, amputacja w podudziu...”. Telefon odebrałam niczego nieświadoma, trzymając dziecko na rękach i zamarłam. To była najgorsza wiadomość jaką w moim trzydziestoletnim życiu usłyszałam. Był to kolejny cios, którego następstwem była ogromna rozpacz, bezsilność..

Postanowiłam walczyć i żyć. Nie ważne czy z nogą czy bez niej, ale żyć. Szóstego grudnia 2012 roku mąż dostarczył mnie do CO, a następnego dnia amputowano mi nogę. Nie załamalam się, nie płakałam z tego powodu. Uczylałam się chodzić o kulach, bandażować kikut, pokonywać wiele przeszkód architektonicznych typu schody... . Zewsząd słyszę, że jestem dzielna, że walczę i się nie poddaję, że potrafię się uśmiechać i w miarę możliwości uczestniczę w wychowywaniu moich dzieci...

Nie uważam, że jestem jakaś wyjątkowa. Ja po prostu cieszę się: że żyję; że mogę przytulać i całować moje dzieci; że mogę uczestniczyć w życiu rodzinnym, wytłumaczyć córce niezrozumiałe zadania z matematyki :); czuć że mąż mnie nadal mocno kocha (może nawet mocniej?)...

Do szczęścia w życiu brakuje mi tylko nogi :(Nie, nie mojej – tej, która od 12 lat mnie bolała. Brakuje mi protezy, bym mogła po prostu chodzić i jeździć na rowerze. Chciałabym wziąć synka za rączkę i iść z nim na spacer (aktualnie brakuje mi spacerów, tęsknię za tym gdy mogłam włożyć synka do wózka i iść...). Na razie walczę z bólem, rana powoli się goi (wymaz z rany wykazał gronkowca, no ale przecież ja mam całe życie pod górę :), niedługo pojedę do protezowni obejrzeć te cuda – protezy. Dobra proteza podudzia kosztuje kilkadziesiąt tys. zł – chciałabym mieć dobrą protezę, gdyż mam dopiero 30 lat i chcę żyć normalnie. Nie chcę być osobą niepełnosprawną, gdyż mam silny organizm i silną psychikę. Na gorszej protezie nie da się chodzić, uciska kikut i go rani lub jeżeli da się chodzić, to tylko przy pomocy kul.

Z całego serca pragnę, by Państwo pomogli mi uzyskać środki na protezę i co za tym idzie pomogli mi wrócić do normalności. Kocham życie mimo wielu klód rzucanych mi pod nogi, chciałabym tylko mieć nogę...

Można pomóc przekazując 1% swojego podatku na moją rzecz:

Fundacja „Złotowianka”

Ul. Widokowa 1

77-400 Złotów NIP 767-165-65-24

KRS-0000308316

Cel szczegółowy 1%: dla SOKOŁOWSKA IWONA S/51

Numer konta Fundacji:

SBL Zakrzewo 25 8944 0003 0002 7430 2000 0010